

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 3 kwietnia 1926 roku.

Nr. 14.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

14

BEZ SERCA.

Janek zaproponował pani Heli spacer. Zgodziła się bez chwili wahania. Wyjechali tramwajem elektrycznym do Gütsch z cudnym widokiem na Lucernę, na Alpy, na lodowce i na jezioro Czterech Kantonów. Innym razem wyruszyli do Kriens i na Sonnenberg, skąd błędząc ciemnym sosnowym lasem bez żadnych już szwajcarskich „widoczków” — dotarli zmęczeni pieszą eskapadą w ciągu godziny z powrotem do Gütsch. Odbywali teraz takie spacery pospołu codziennie.

Pani Hela przestała nareszcie wertować wciąż na tej samej stronicy swego dekoracyjnego żółto okładkowego Hachette'a. Przestała aż do bólu szczękać ziewać w koszykowym fotelu na tarasie przy dźwiękach hotelowej orkiestry, lub wylegiwać w rokingczerze na pokładzie spacerowego białego z mosiężnymi antabami stateczku z pudełka dziecięcych zabawek. Przestała w znudzeniu przyglądać się zdaleka kinematograficznym widoczkom, znanym ze wszystkich pocztówek.

Znikała teraz ludziom z oczu od rana do śniadania i od podwieczorku do obiadu.

To Janek, zjawiający się u zamkniętych drzwi jej pokoju — meldował pukaniem swoją gotowość cicerone'a, któremu zawdzięczała, że dopiero teraz poznała Szwajcarję, tę zupełnie już inną Szwajcarję.

A należy przyznać, że tę inną Szwajcarję, pomimo jej strzyżonych kulistych kulturalnych akacji, którymi skrzętni szwajcarzy aż do znudzenia obsadzili wszystkie drogi, nieznośnie zniwelowane, posadzkowo wyrównane i parkowo utrzymane — stwórca obdarzył w ponadziemskie cuda królów, o jakich mieszkańcom nizin ani się śniło.

Ach! Te ubrylantowane słońcem śnieżne szczyty, te góry skaliste z rodu przedhistorycznych posiwałych gigantów. O! Te połączone z niemi odwieczną stulą śnieżne wierzchołki, piętrzące się nad szmaragdowymi dolinami, z bujną kontrastowo południową roślinnością i ze spienionymi wodospadami, które z hukiem wśród przedpotopowych kamieni wiją się srebrzystą wstęgą!

Groza tej potęgi i zagadkowej siły wszechświata zakrywa najszczelniej całą szwajcarską lilipucią kulturę: I te parkowe przesłodzone aleje z kulistymi akacjami i te pudełkowe o bombonierkowym rysunku wille i cudackie hotele z temi wiecznymi osiatkowanymi placami do tenisa. I tę niezmordowanie harującą białą wyflanelowaną młodzież „z towarzystwa”. I te olejodrukowe wydzwonkowane białe owieczki i zbyt dobrze utrzymane i zbyt rasowe krówki, jednakowiuteńkiej popielatej maści, z jednakowiuteńkim

rysunkiem, karku, które pasą się jakby umyślnie, jako stafaż, upozowany dla pocztówek.

Bo Janek potrafił wynajdywać drogi, już mniej starannie strzyżone, z domkami mniej bombonierkowanymi, z krowami na pastwiskach mniej tuczonymi i z miejscową ludnością, mniej szablonowo uśmiechniętą i mniej teatralnie ukostjumowaną.

Zbaczali — o dziwo! — w chmurne zarośla, prawie jakby dzikie, z groźnymi skalnymi szczytami wśród ciemnych, prawie czarnych traw, zimno ołowiane w kolorze, z wodospadami mniej układnymi, mniej grzecznie obijającymi się o swoje łoża kamieniste i huczącymi melodie mniej harmonijne, pełne zgrzytów i grozy.

— Jak tu pięknie! I żywego ducha ani śladu. Brr.... wzdrygnęła się pani Hela.

— Chodzimy już blisko godzinę. Pani zapewne zmęczona upałem. Orzeźwiewemy w cieniu i w chłodzie tu nad tym wodospadem — zaproponował prawie władczo już nie tym uległym tonem grzecznie układnych strumyków, lecz zapożyczając barwy głosu od powagi i grozy otaczającej ich natury, wśród królewskiej ciszy, nie przerywanej ani dźwiękiem dzwoneczków kulturalnych pocztówkowych owieczek, ani szczebiotem ptactwa, ani świstem kolejowych ekspresów z wagonikami sypialnymi i tabldotowami.

Usiadła ulegle na miękim mchu, oparta o ułożone tu przez leśne nimfy lub przez chochlików kamienie — prześliczna w swojej jasnej miękkiej sukni, z pod której, jak z pod kąpielowego kostjumu, modelowały się jej harmonijne proporcje.

Ze swoją piękną główką, obnażoną z modnego dernier cris kapelusza, mniej już mondaine'a, a bardziej kobieta — uchyla oczu przed wpatrzonym w nią mężczyzną, lśniącym od młodzieńczego ognia źrenic, od blasku drobnych białych zębów i czerwieni warg zmysłowych.

Ponętny w swojej białej czapce kapitana okrętu, z rysującymi się nęcąco z pod jasnego ubrania kształtami — na pół leżąc — usadowił się, jak władczy pazik, u nóg zbyt powolnej królowej.

Dokoła nich poza hukiem wód — panoszy się ta złowroga cisza, która od pierwszej chwili przejęła dreszczem panią Helę. Lecz wnet sprowadzona na ziemię dzięki swej kulturalności, nie zapominając ani nawet w takiej chwili o wszystkich galerjach, jakie w życiu zwiedzała, zdecydowała w myśli, znając na pamięć wszystkich najslawniejszych pejzażystów:

— Ależ to najczystszy Böklin ze stafażem dwóch postaci: On i ona bez nazwiska, bez stempla, w kostjumach z byle jakiej epoki, mówiących byle jakim językiem. Tout court: Symbol miłości. Kochankowie wszystkich epok i wszystkich narodów. Abelard

i Heloiza, Romeo i Julja, Herman i Dorotea, Juljusz Caesar i Kleopatra, Laura i Petrarka, Degrieux i Mannon Lescaut.

Wobec tego nie zdziwiło jej wcale, że Janek, układając się coraz wygodniej, ułożył wreszcie głowę swoją na jej kolanach. Jak gdyby uważała, że to wszystko się zgadza z etykietą z innej planety, gdzie muszą się dziać rzeczy, o jakich filozofom się nie śniło.

I ani spostrzegła w tym pozasalonowym transie, jak szalony Janek począł gorzeć coraz gorętszym płomieniem. Pożar ten stopniował się swoim żywiołowym szatańskim pędem, aż ogarnął naraz oboje. I cała bezludna tajemnicza gęstwina pod opieką leśnych wyfujarkowanych faunów, satyrów i gnomów poczęła kusić ich wśród majestatu ciszy, z podobnym despotyzmem, z jakim zniewoliła do grzechu naszych wspólnych prarodziców, szanownych państwa Adamostwa w ich rezydencji, w rajach.

Bo przecież i nasz wspólny prapapo z pramamą udzielali sobie miłosnych zwierzeń nie na sprężynowych dywanowych otomanach, lecz w gąszczach drzew na wonnych mchach, puszystych od aksamitu.

— Kocham, kocham, kocham — dyszał miłośnym volapükim przylepiony warem ust swoich do jej warg rozchylonych — skąpany w elektrycznej kąpieli, w której każdy atom jego ciała rozkoszował się przesywającymi iskrami. Iskry te wydzielały się z jej oddechu, z przyspieszonego bicia serc, jedno tuż przy drugim, ręka w rękę, oko w oku, dłoń w dłoni...

Coraz natarczywszy, coraz bardziej nieodpowiedzialny za swoje czyny, coraz bardziej pochłonięty tym elektrycznym potopem jej wonnych włosów, które uwolniły się wśród tej anarchji z solidnej więzi szpilek szyldkretowych — począł brutalizować ją samczo, gładząc w rozpiętej batystowej bluzce jej śliczne piersi swemi wrzącymi wilgotnymi długimi palcami o krótko obciętych dziecięcych paznogiach.

— Nie, nie — poczęła bronić się — Nie tutaj.

— Ulituj się pani, przebac. Wiem, że jestem szalony.

— Nie, nie — broniła się resztką sił od czaru jego oddechu, od słodyczy jego warg zmysłowych i od niebieskawego pudru jego skrzętnie wygolonego wydatnego podbródka. Od całego poniżającego, tak sprzecznego z jej kulturą szafu zwierzęcego, który natura narzuca ludziom, aby nie uważali się za aniołów.

— Nie, nie. Za nic . . . wstydziała się sama przed sobą tego swego oporu, który tak trafnie odgadywały jej przyjaciółki, wiecznie wymawiające jej brak serca. Nadludzkim wysiłkiem udało się jej zerwać z pierzyn mchu i z leśnych aromatycznych kwiatów. — Błagam... — Nie, nie. Nie tu. Zciemnia się. Już czas na obiad — dysząc ciężko, prosiła znacznie potulniejsza po tem, co zaszło, niż kiedykolwiek w życiu.

— A więc gdzie, kiedy? — dyszał ciężko.

— Dziś. Po skończonej muzyce w moim hotelu, kiedy wszyscy się rozejdą — napijemy się herbaty u mnie. Można wejść boczną furtką ogrodową — zdecydowała, aby obalić mylną obserwację swoich przyjaciółek, stwierdzających jej brak serca — choć nie wiem, bo w przedpokoju rezyduje często rodzina szwajcara.

— Gdyby okno pani pokoju było otwarte... — badał nieprzytomnym dyszącym głosem — mógłbym oknem

— Dobrze. Będzie, jak pan żąda. Furtka

ogrodowa bywa czasami zamknięta. Oto klucz od furtki.

— Czy mogę wierzyć?

— Nie kłamię nigdy.

— Kocham, kocham, kocham.

— Nie, nie — broniła się, już silniejszą, porządkując włosy i bluzkę. — Na teraz dość szaleństw. Idziemy do domu. Proszę być grzecznym i cierpliwym.

Szli samym brzegiem tego najcudniejszego na świecie jeziora Czterech Kantonów, tak nieprawdopodobnego ze swoją jubilerską pięknnością, że żaden na świecie sławny pejzażysta nie usiłował go uwiecznić.

Pora zachodzącego dnia, roztaczająca swoje czarowne uroki nawet na błotnistych rynkach małomiejskiej brudnej Kiernozi — cóż dziwnego, że w obdarzonej już nie po królewsku, lecz po bosku Lucernie wprost oszałamiała. Nie do opisania dla poetów, jak nie do odmalowania dla największych malarzy.

Ot poprostu, jak gdyby cała Lucerna przegładła się w rozpuszczonych turkusach jeziora, okolonego łańcuchem szczytów alpejskich, których śnieżną biel, haftowaną w iskrzące brylanty — skąpało teraz zachodzące słońce w lawie rozpuszczonych rubinów. W tej samej ognistej lawie rubinów kąpią się i obłoki, ścigające się po niebie w złocie zachodzącego słońca, że aż oszaleć można od orgji tych barw i tonów z tysiąca i jednej nocy.

Królewicz i królowna, czy też Abelard i Heloiza, lub jak każdy inny *on* i *ona*, trzymali się za ręce, jak grzeczni, cierpliwi narzeczeni, nie wątpiący, że co się odwlecze, nie uciecze. I milczeli, jak wszyscy kochankowie, uważający, że mowa nadaje się jedynie do potocznych kwestji nizin, lecz nigdy do sfer naziemskich, do których wydaje się zakochanym, iż płyną, a raczej spinają się, jak uskrzydłone ptactwo.

Stanęli przed Szwajcerhofem. Dokoła nich ubrane już do obiadu hrabiny galicyjskie zawyrokowały:

— Patrzcie, Romeo i Julja zaczynają już spóźniać się na obiad.

— Naturalnie. Faust i Małgorzata mają ważniejsze sprawy na głowie.

Janek z czapeczką w dłoni całował z szacunkiem rękę pani Heli.

— Do widzenia.

— Do widzenia — zniknęła w ogrodowej ścieżce, prowadzącej do jej pawilonu, śpiesząc do zmuśnionej pracy przebrania się w wieczorowy strój do późnego obiadu, złożonego z sześciu potraw, nie licząc deseru.

Janek bardzo prędko ukończył swój posiłek mniej przeciągły, niż w Szwajcerhofie, w swoim mniej wykwintnym pensjonacie, w którym nie było zwyczajnego przebierania się we frak do wieczery.

Rozgorączkowany młodzieńczo do niepoczytalności — zachodził już kilkakrotnie przed monumentalną fasadę Szwajcerhofu z oknami salonów oświetlonymi a giorno, w których przy rubinowym świetle ustawionych na ukwieconych stolikach lamp elektrycznych ze szkarłatnymi abażurkami — jaśniały sylwety obnażonych biustów wytwornych, wybrylantowanych dam w towarzystwie wyfrakowanych gentlemanów.

(D. c. n.).

1) ŻÓŁTA TWARZ.

W ciepły, pogodny ranek październikowy wybrałem się na spacer do Łazienek.

Po długim szeregu dni chłodnych i deszczowych, w łagodnym trzepocie pożółkłych liści, przeświecanych słońcem, jak delikatne dłonie kobiece, w bladym wdzięku jesiennych astrów, wśród których tu i ówdzie zabrzęczała jeszcze pszczoła, lub nawet przewinął się motyl spóźniony, w zroszonej trawie, migocącej w blasku słonecznym, jakby tysiącem rozsypanych szkiełek, — zdawało się jeszcze uśmiechać lato. Lecz był to już tylko smętny uśmiech pożegnania; natura, jak czasem człowiek na chwilę przed śmiercią, przyobłąła się w złudną krasę życia i umierała, z każdym spadającym liściem, z każdym zmrożonym płatkim kwiatu czy zdziebelkiem trawy bliższa białego zimy grobowca.

Obszedłszy dookoła uroczy park, znużony, usiadłem na ławce przed pałacem królewskim i, przyknawszy oczy, wystawiłem z błogością twarz na przeciągłe, lekkie pieścoty promieni słonecznych, co ślizgały się po niej, jak czyjeś bardzo drogie palce. Beztroska gonitwa dzieci, niczem białe motyle uwijających się po zwirowym placyku przed pałacem — beztroska gonitwa dzieci na tle umarłej epoki; beztrosko płynące po stawie młode łabędzie wśród obramowania pochylonych drzew starych, z przejmującym szelestem strząsających resztkę chorych liści — beztroskie młode łabędzie na tle umarłego lata; radość życia i melancholja śmierci, splecione w blasku łagodnego słońca i rozwiewające się w opalowym powietrzu, niczem te październiki, snujące się dookoła, — spowijały duszę w mgłę słodkich, tęsknych, niejasnych przeczuć, kołysały leniwie myśli moje, mewy samotne, ku jakimś dalom błękitnym i bezbrzeżnym, jak ten strop nieba nad głową.

Siedziałem tak już dobrą chwilę, roztopiony w błogości polskiej jesieni, gdy nagle posłyszałem nad sobą wymówione tonem zapytania, z akcentem cudzoziemskim, moje nazwisko. Niechętnie podniosłem przymknięte powieki i, sam nie wiem, czemu, zadrżałem, jak gdybym ujrzał upiora. Z mroku podświadomości błysnął mi nagle, ni to krwawy zygzak piorunu, niejasny, postrzępiony fragment okropnego snu — snu, który miałem niedawno, który napróżno usiłowałem sobie przypomnieć, który jednak ciążył mi na piersi, jak zhora.

Ujrzałem — żółtą twarz...

Stał przedemną Japończyk, człowiek jeszcze młody, ubrany czarno, z wykwinem, znamionującym niewątpliwie dzieło londyńskiego krawca. Stał z grzecznie uchylonym kapeluszem w ręku; wąskie, bezbarwne usta syna krainy Wschodzącego Słońca okalał uprzejmy uśmiech, skośne oczki za szkłem wielkich amerykańskich okularów w rogowej oprawie świeciły się nieco matowym, jakby znużonym blaskiem.

Nie otrzymawszy odpowiedzi na swoje pytanie — niezdolny byłem wydobyć z siebie głosu — uprzejmie powtórzył (mówił po niemiecku):

— Czy mam przyjemność mówić z panem . . .

Skinąłem głową i powstałem, odruchowo uchylając kapelusza.

— Pan mnie nie poznaje? — zapytał z uśmiechem, jakby przylepionym do jego warg.

Oczywiście, że go nie poznawałem. Japończycy dla Europejczyka są wszyscy tak do siebie podobni, że trzeba dopiero dłuższego obcowania z którymś z nich, aby go odróżnić na pierwszy rzut oka od reszty jego współbraci. Przynajmniej dla mnie przedstawia to zawsze trudność. Pomyślałem sobie, że najprawdopodobniej jest to ktoś z japońskiego poselstwa, gdzie przed kilku miesiącami byłem na jakiejś herbatce dyplomatycznej. Ściągnąłem twarz w dość głupi uśmiech, który miał wyrażać, że jednak przypominam sobie mego żółtego rozmówcę, i z wylaniem potrząsnąłem mu dłoń.

Ale on nie dał się zwieść słowiańskiej rozlewności i, jakby czytając w moich myślach, ciągnął uprzejmie:

— Nic dziwnego zresztą... my — ludzie Wschodu, jesteśmy dla Europejczyka tak podobni do siebie, że bierze mnie pan prawdopodobnie za członka naszego poselstwa, o innego bowiem Japończyka trudno w Warszawie. Niestety, nie jestem dyplomata, lecz tylko skromnym uczonym. Interesuje mnie historia ras ludzkich i od dłuższego czasu pracuję nad książką, w której wyprowadzam dość interesujące wnioski... Ale to nie należy do rzeczy! Dziwi pana zapewne, skąd go pamiętam i skąd znam pańskie cenne nazwisko? Widzi pan, stary przyjacielu... pozwól mi pan użyć tego szacownego miana, którego nie szczędziłeś mi kiedyś!... my — azjaci — mamy bardzo dobrą pamięć wzrokową, wyrobioną wiekami, chociażby na naszym trudnym alfabecie... Było to więc dawno, lat temu zgorą dwadzieścia. Byliśmy wtedy bardzo młodzi; nie chcę przez to powiedzieć, żebyśmy dziś byli starcami... przeciwnie, pan zwłaszcza, przyjacielu, trzyma się znakomicie i wygląda wprost na młodzieńca! — skłonił głowę, z typowo wschodnim ugrzecznieniem, jakgdyby składając hołd mojemu, wątpliwej świeżości młodzieńczej, wyglądowni. — Ale obaj nie mieliśmy jeszcze podówczas lat dwudziestu. A trudno, trzeba to sobie powiedzieć: lat dwadzieścia ma się tylko raz w życiu!... Kochaliśmy się, to jest — pan się kochał, ja bowiem byłem już wtedy zaręczony... studjowaliśmy filozofję i wierzyliśmy święcie w estetyczne kanony Tode'go*). Słowem, czy pamięta pan „Alt - Heidelberg“?...

— Kawasaki! — radośnie wykrzyknąłem, w jednej chwili przypominając sobie wszystko, jakby dźwięk różowy ślicznego miasta mej młodości zerwał mi nagle zasłonę z mózgu.

W jednej chwili prysnęła także pod wpływem szczerzej radości z tego osobliwego spotkania ołowiana zhora — żółtej twarzy....

Pamiętam... pamiętam...

Kochane stare miasto uniwersyteckie, tak nie mające nic wspólnego z tem, co w duszy germańskiej

*) znakomity historyk sztuki, profesor uniwersytetu heidelberskiego.

pozostanie nam na wieki wrażeń! Miasto podniosłej wiedzy i beztroskiej radości studenckiej, istic akademicka *Alma Mater!* Wiosną całe białe i różowe, niczem jeden sad kwitnący; rozłożone wdzięcznymi terasami u stóp wspaniałego zamku, w cieniu olbrzymiej beczki Gambrynusa; okolone modną wstęgą Neckaru, skryte wśród ciemnego granatu wzgórz zalesionych i jasnych szmaragdów winnic, słodkim owocem i winem zacnem darzących dobrych ludzi — wzgórz i winnic, grających w jesiennym słońcu cudowną symfonią barw nieopisanych.

Miasto mej młodości!

Pamiętam.... pamiętam....

I te wesołe „knajpy“ studenckie, przy których najrozmaitsze, często skłócone z sobą narodowości łączyła jedna promienna wróżka: młodość. I te romantyczne „bumble“ nocne, z obowiązkiem gaszeniem staroświeckich latarni, przewieszaniem szyldów, zaczepianiem pobłażliwych policjantów i straszaniem poczciwych mieszczuchów; ze zbiorowemi serenadami pod oknami mniej lub więcej urodziwych wybrank. I te sentymentalne spacerunki we dwoje po łagodnych wzgórzach, z których roztaczały się wdzięczne widoki i gdzie zaciszne kawiarenki darzyły upragnioną samotnością i dawały dobrotliwe schronienie młodej, często niewinnej miłości. I te cudowne wycieczki w niewiadomy bezkres, wśród szpalerów kwitnących drzew, prószyjących wonnem confetti prościutko w młode serca; bądź wśród winnic dojrzałych, gdy słodkie grona, prosto z latorośli, rozgniatano się ustami w długim pocałunku, a pragnienie gasiło się z jednego kieliszka taniem a przedniem winem, rzekłbyś — czerpiąc haustem samo słońce. I te wieczorne przejażdżki po Neckarze w oświetlonych łodziach, kiedy w liljowym zmierzchu cała rzeka jarzyła się od chińskich lampionów, rozdzwoniła śpiewem i weselem, aż, zdziwione, zdawały się mrugać sennymi oczami maleńkie i bły-

szczące w srebrzystej mgłę, niczem świętojańskie robaczki, okienka dalekich wsi i miasteczek.

Pamiętam wszystko....

I ciebie, jasnowłosa, sentymentalna i tak dla mnie łaskawa, Grethen, któraś pierwsza w młodzieńczym, nieświadomym sercu dreszcz miłosny wzbudziła, — ciebie, o której dalekie wspomnienie płacze mi się czasem w duszy ze słowami starej piosenki: „*Behütt Dich Gott, es war so schön gewesen...*“

I ciebie, poczciwa pani Edelweiss, perło wśród gospodyń studenckich, nie mająca wprawdzie nic wspólnego z poetyczną szarotką alpejską, ale tak doskonale wyrozumiała na moje późne i nieraz chwiejne powroty do domu, tak po macierzyńsku pobłażliwa dla moich spraw sercowych, pośrednicząca nawet, jako *postillon d'amour*, pomiędzy jakimś tam „*ausländerem*“ a córką samego dostojnego radcy — jednego z miliona radców w Niemczech — a to, jak przystało osobie statecznej, która sama kiedyś była młodą, miała krew nie wodę w żyłach i kochała się w studencie!...

Lecz przede wszystkim — ciebie, mały, poważny, pracowity, stroniący od zabaw i od kobiet Japończyku, tajemniczy, żółty młodzieńcze, tak różny od reszty kolegów, mój Kawasaki!....

Pamiętam nasze poznanie się w seminarjum filozoficznym i naszą pierwszą rozmowę, której tematem była... Polska. Pamiętam nasze wieczory zimowe, spędzane w twoim zacisznym mieszkaniu, przy japońskiej herbacie, pitej przed kominkiem, w japońskich kimonach, wśród bukietów chryzantem, nad książką lub w żarze nieskończonych dyskusji filozoficznych, estetycznych, czasem politycznych. I nasze długie, dalekie spacerunki za miasto wiosną, kiedy zakwitły wiśnie i kiedy chodziłeś, jak pijany, bo przypominały ci one twoją Ojczyznę....

(D. c. n.).

Z ruchu wydawniczego:

„JENERAŁ MAJ“

Na długie lata wojna nasza z Bol-szewją będzie wdzięcznym tematem do wspomnień żołnierskich. Chwile to były dla nas tragiczne. Żołnierz z tragedji tej wziął tylko trudy. Pozostała niejedna mogiła w pustym polu! Naogół jednak w przeżyciu żołnierskiem przesuwają się jak w filmie — marsze, podjazdy, bitwy, rejterady, wesołe gęby kompanów, śmieszne przygody na kwaterach, głody i wyżerki, pijatyki i smętki. Niekiedy tylko zabrzmiała nuta zachwytu dla otaczającej przyrody. Odezwi się i głos sentymentu dla matki, kochanki, domu rodzinnego. Wyczerpuje to świat przeżyć żołnierskich. Na filozofję mogą sobie pozwolić cywile! Żołnierz jest od tego, by walczył. Biada mu, jeżeli wyda się śmiesznym kompanom. Zwycięstwo nosi na wychudłej, zmizerowanej twarzy, gdy stać go na koncept, choćby o... generale Maju. Łgarstwo wierutne jest ten generał Maj, ale bez tego łgarstwa byłoby smutno ułanom pod Lwowem. Przywidzenie to pozwoliło ułanom przetrwać ciężkie miesiące ukraińskiej rebelji. Dało nawet zwycięstwo, wzmocniło energję walczących. O generale tym opowiada zabawną i smętną opowiastkę p. St. Strumph - Wojtkiewicz w czołowej noweli swojego zbioru, noszącej ten tytuł. Wszystkie

utwory tego zbioru są przepojone nutą ułańskiej piosenki. P. St. Strumph - Wojtkiewicz odbył kampanję wojenną w szeregach kawalerji; dzieli się więc z wrażeń swoich ułańskich w opowiadaniach, pełnych swady i humoru. Zabawna jest przeciwieście opowieść o „Złotym guziku“. Takim Felusiem — ochotnikiem był prawie każdy żołnierz, pochodzący ze sfer studenckich. Ciekawą jest nowela o Łasickim i Laseckim. Współzawodnictwo obudziło w nich nienawiść. Ze złości dokuczają sobie, ze złości jeden drugiego chce ubiedz w brawurze. Połączy ich jednak wspólna dola. Zostaną przyjaciółmi, gdyż wspólnego mieli wroga.

Smętną jest opowieść pt. „Zwycięstwo“. Naogół jednak panuje ton młodej werwy. Dla ułańskiej tej werwy warto jest przeczytać ten tom wspomnień, ujętych w formę noweli i opowiadania, przez p. St. Strumph - Wojtkiewicza.

„Jenerał Maj“ znajdzie napewno wielu chętnych czytelników. Ułani zachowają książkę tę, jak relikwiarz niedawnych, własnych przeżyć.

NA PROGU MAŁŻEŃSTWA

Przykro jest stwierdzić, iż wszystkie dobre, znakomite rady co do życia wogóle a małżeństwa w szczególności nigdy nie dają pożądaných rezultatów. Młodość lubi własne drogi w wyborze szczę-

ścia. Niby słucha a nawet aprobeuje jasny sąd o rzeczy ludzi starszych, lecz postępuje zawsze inaczej. Wystarczy rozejrzeć się po otoczeniu, by znaleźć rządzającą rozbieżność rzeczywistości i dobrych, doświadczonych rad. Nie znaczy to jednak, by pozostawić młodzież bez wskazówek życiowych. Ten trud wzięła na siebie p. Cecylja Plater - Zyberk. Słowa jej są rozsądne, trafiające do przekonania, mogące przynieść wyjaśnienie w gmatwaninie uczuć, porywów i niewczesnych chęci. P. Cecylja Plater - Zyberk hołduje poglądom chrześcijańskim na kwestję małżeństwa. Jest to stanowisko poważne i godne polecenia, choć w życiu sprawia wiele kłopotu przez swoją surową moralność, odpowiedzialność za czyny i uczucia. Współczesność do spraw tych odnosi się liberalniej. Ze względu na rodzinę, dzieci, zadania społeczne i narodowe jest to niewspółmierne z piękną prostolinijnością poglądów p. Cecylji Plater - Zyberk. Należy jednak dążyć do utrzymania poważnych form rodziny polskiej. Książkę „na progu małżeństwa“ z wielkim pożytkiem będą czytały nasze panny na wydaniu. Warto ją nawet specjalnie polecać. Większość dziewcząt ma tak poprzewracane w głowie, że nie wie, co jest wskazane a co błędne w sądach o miłości, małżeństwie, rodzinie.

